

Polska (mało znana) szkoła ekonomiczna

Michał Kalecki wymyślił keynesizm przed Keynesem, o Oskara Langego były się najlepsze amerykańskie uniwersytety, a Roman Frydman to poważny kandydat do Nobla

Jak każdy naród lubimy chwalić się swoimi geniuszami. Mamy więc kult Fryderyka Chopina i Karola Szymanowskiego w muzyce. Szczycimy się matematykiem Stefanem Banachem, chemiczką Marią Curie-Skłodowską, ojcem światowej antropologii Bronisławem Malinowskim albo logikami ze szkoły lwowsko-warszawskiej. Na tej liście brak tylko ekonomistów. A szkoda, bo i na tym polu naprawdę jest się na kogo powołać. Zwłaszcza w czasie obecnego kryzysu.

„Jesteś z Polski? Bo ja uwielbiam Kaleckiego” – usłyszałem niedawno na jednej z około kryzysowych konferencji od młodego, choć już całkiem cenionego i otrząśniętego w świecie węgierskiego ekonomisty. Do rozmowy zaraz przyłączył się Włoch: „Tak, tak, Kalecki. Wielka postać”.

– Niewielu klasyków ekonomii potrafi nam wyjaśnić tak wiele ze współczesnego kryzysu jak Michał Kalecki – mówi w rozmowie z DGP Anatole Kaletsky, czołowy brytyjsko-amerykański publicysta ekonomiczny, obecnie związany z Agencją Reutera, autor książki „Kapitalizm 4.0” (a prywatnie daleki kuzyn Michała Kaleckiego). Skąd te dowody sympatii dla zmarłego w 1970 r. polskiego naukowca? To proste. Michał Kalecki zupełnie niezależnie doszedł do tych samych wniosków co gigant XX-wiecznej ekonomii John Maynard Keynes. – Mało tego, on w wielu miejscach tego słynnego Keynesa nawet wyprzedził, prowadząc wywód dużo jaśniejszy i bardziej spójny od słynnego Brytyjczyka – mówi nam Jerzy Osiatyński, były polski minister finansów i najlepszy w kraju znawca twórczości Kaleckiego, wydawca sześciu tomów jego pism zebranych.

Aby lepiej zrozumieć znaczenie prac Michała Kaleckiego, trzeba wyobrazić sobie współczesną ekonomię rynkową jako drzewo o bardzo grubym pniu. Na dole są ojcowie nowoczesnego kapitalizmu w stylu Adama Smitha czy Davida Ricardo. Uczą nas, jak rynek wymusza efektywność i godzi jednostkowe egoizmy podmiotów gospodarki. W pewnym momencie pień zaczyna rozdzielać się na dwie grube części. Jedna odbija lekko w prawo. To ekonomia klasyczna, gdzie gospodarka funkcjonuje w zgodzie z niewidzialną ręką: jeśli tylko nic nie hamuje doskonałej konkurencji, rynek potrafi radzić sobie ze wszystkimi kryzysami i wstrząsami dzięki wmontowanym w naturę kapitalizmu mechanizmom samoregulacji. Gdy na przykład pojawia się bezrobocie, przedsiębiorcy obniżają płace. Wówczas produkcja pracochłonna staje się tańsza, a relatywnie drożeje za to produkowanie przy użyciu kapitału. Efekt? Pracodawcy znowu zwiększają zatrudnienie, bo im się to opłaca, a gospodarka wraca do równowagi. To z tego pnia wywodzi się większość ekonomicznych noblistów z Miltonem Friedmanem na czele.

Jest jeszcze druga część tego samego pnia. Trochę cieńsza i odchodząca lekko w lewo (wciąż jednak daleka od osobnego drzewa ekonomii marksistowskiej). To świat teorii efektywnego popytu. Jak to działa? – Jeśli jest kryzys i producenci obniżają koszty pracy w fabryce, to może i mają większe zyski. Ale przecież ich zubożeni albo zwolnieni pracownicy nie kupią produkowanych przez firmę komputerów. Mało tego, oni mniej wydadzą również na inne produkty sprzedawane przez tych, którzy mogliby te komputery kupić. Efektywny popyt się skurczy, a gospodarka drepcze w miejscu. Ten nowy rewolucyjny punkt widzenia wprowadzili do gry dwaj ludzie: Keynes i właśnie Kalecki – mówi Jerzy Osiatyński.

Z pozoru trudno o gorzej dobraną parę. Starszy o kilkanaście lat Keynes to prawdziwy pieszczoł losu. Wywodzący się z zamożnej klasy średniej (ojciec był profesorem etyki na Cambridge) dorasta w znajdującym się u szczytu bogactwa imperium brytyjskim. Od początku otacza go kult geniusza i bon vivanta. Przyjaźni się z absolutną intelektualną śmietanką ówczesnej Anglii: logikiem Bertrande Russell, pisarzami Virginią Woolf i Lyttonem Stracheyem czy późniejszym premierem Davidem Lloydem-George’em. Uniwersytecką katedrę dostaje z kolei po największym ówczesnym ekonomście Alfredzie Marshallu. Idzie mu nawet na giełdzie, gdzie dorabia się majątku wartego w przeliczeniu na dzisiejsze sumy 11 mln funtów.

Zapomniany pionier

Michał Kalecki to przy Brytyjczyku szara myszka. Faktycznie niewielki wzrostem ekonomista pochodził ze średniozamożnej żydowskiej rodziny z Łodzi, gdzie jego ojciec prowadził niewielką fabrykę tekstylną. Przez całe studia targany był wątpliwościami. Raz zapisywał się na politechnikę, by zyskać solidny zawód, to znów stwierdzał, że bieganie w kaloszach po budowie nie jest zajęciem dla niego i przenosił się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie była wówczas wykładana matematyka. – W podaniu napisał, że chce udowodnić jedno z niedowiedzionych jeszcze wtedy twierdzeń Pascala – wspomina jego biograf Jerzy Osiatyński. A gdy znużył się matematycznymi zabawami, znowu wracał na politechnikę. Aż do momentu, gdy pod koniec lat 20. plajtkuje przedsiębiorstwa jego ojca Abrama i syn musi przerwać studia. Kalecki, prawie trzydziestoletni niedokończony inżynier,

szuka dorywczych prac, żeby pomóc w zbilansowaniu rodzinnego budżetu. Pisze najróżniejsze analizy koniunktury: obojętne, czy to na rynku bawełny, nici czy gwoździ. Dopiero wtedy ostatecznie wciąga go ekonomia oraz pytanie, które będzie do końca jego wielką obsesją: dlaczego jest tak, że rynek działa bez problemów, wszyscy są zadowoleni, a potem nagle wszystko się załamuje? Podobnie jak kiedyś biznes jego ojca.

Jerzy Osiatyński wspomina, że to wówczas (początek lat 30.) Kalecki przeczytał jeden z najważniejszych tekstów w swoim życiu. Artykuł nosił tytuł „Ein Schiffbauzyklus?” (Cykl budowy okrętu?) i został napisany przez młodego holenderskiego ekonomistę (później pierwszego laureata Nagrody Nobla w tej dziedzinie) Jaana Tinbergen. W opinii Kaleckiego Tinbergen trafił w nim w sedno, pokazując, jak klasyczna ekonomia bywa bezużyteczna w analizowaniu problemów prawdziwej gospodarki. Wyobraźmy sobie, że jest boom na rynku transportu morskiego. Ceny przewozu się zwiększają, więc rynek wysyła informację, że potrzebnych jest więcej statków. Stocznie budują więc nowe okręty, co oczywiście trwa, a w międzyczasie rynek się nasycza. Na koniec przewoźnicy zostają z długami za statki, a stocznie wpadają w kłopoty z powodu zmniejszonej liczby zamówień. Wszystkie mechanizmy regulacyjne, które powinny być wmontowane w gospodarkę, zawodzą.

Kalecki zaczął pisać teksty o tym, jak można wyciągać gospodarkę z koniunkturalnych tarapatów przez odpowiednie pobudzenie popytu. A ponieważ świat zmagał się właśnie z głębokim i uporczywym kryzysem lat 30., pisma Polaka zostały dostrzeżone. Zwłaszcza „Próba teorii koniunktury” z 1933 r., dzięki której Kalecki dostał stypendium naukowe na wyjazd do Szwecji. Tam jeden z kolegów przysłał mu wydaną w 1936 r. „Ogólną teorię zatrudnienia, procentu i pieniądza” Keynesa. Kalecki natychmiast zorientował się, że tezy Brytyjczyka są absolutnie zbieżne z tym, co sam napisał trzy lata wcześniej, i postanowił nawiązać kontakt z uczonym. – Mistrz go przyjął, ale patrzył na niego trochę z piedestału. Kalecki doskonale rozumiał się z jego najbliższymi uczniami Joan Robinson, Richardem Kahnem i Pierem Sraffą, dla których był odkryciem, bo jego myślenie szło dokładnie tym samym torem co ich badania – opowiada Osiatyński.

„Teoretycznie pierwszeństwo publikacji podstawowych założeń teorii Keynesa leży niezaprzeczone po stronie Kaleckiego. Ale on był zbyt uprzejmy, by kiedykolwiek nam o tym przypominać. Bardziej fascynowało go, jak to możliwe, że dwaj ludzie z dwóch różnych światów doszli do tych samych wniosków i recept. Bardzo nam to wtedy w Cambridge zaimponowało” – pisała Joan Robinson w 1966 r. w eseju „Kalecki i Keynes”. Dlaczego Polak tak się zachował? – Był człowiekiem skromnym, to fakt. Ale też realistą. Wiedział, że jest zbyt słaby na podjęcie walki z wielkim Keynesem – uważa Jerzy Osiatyński. Po prostu uznał, że więcej skorzysta, zapisując się do jego szkoły, niż walcząc z nim o palmę pierwszeństwa. Zwłaszcza że Kalecki już wtedy bardzo chciał wyjechać z Polski. Czuł, że jako Żyd o lewicowych sympatiach nie zrobi wielkiej kariery w sanacyjnej Polsce. Widział też, czym się może skończyć rosnący w siłę niemiecki nazizm. I szukał punktów zaczepienia na Zachodzie. Keynes faktycznie mu wówczas pomógł. Choć nie była to pomoc całkiem bezinteresowna. – Keynes prawdopodobnie trochę się bał młodego wilka i nie zamierzał dopuszczać go zbyt blisko. Owszem, załatwił Kaleckiemu pracę, ale nie w dziedzinie, którą obaj się pasjonowali, tylko w Oxfordzkim Instytucie Statystycznym zajmującym się wyliczeniami na potrzeby gospodarki wojennej – mówi nam Anatole Kaletsky. Paradoks całej tej historii polega na tym, że wyjazd uratował Kaleckiego, który pozostawszy w Polsce (czy nawet na kontynencie), pewnie podzieliłby los milionów Żydów, którzy zginęli w Holokauście.

Po wojnie przez moment wydawało się, że Kalecki wyrośnie na pierwszą gwiazdę ekonomii. Zwłaszcza że po nagłej śmierci Keynesa w 1946 r. na firmamencie pojawiła się luka. Polak pracował kolejno w Paryżu, Montrealu oraz Nowym Jorku. Przepowiedział nawet, że stosowany keynesizm (czyli stymulowanie gospodarki podjęte przez większość zachodnich rządów jeszcze przed II wojną światową) sam kiedyś połknie własny ogon. – Jeszcze w czasie wojny napisał esej o tym, że polityka keynesistowska upadnie z przyczyn politycznych, bo zrodzi inflację. I dokładnie tak się stało w USA i Europie lat 70. i 80. – przypomina Anatole Kaletsky.

Ekonomista był jednak przez cały czas kuszony przez władze Polski Ludowej, która próbowała się zalegitymizować, ściągając do kraju prominentnych rodaków. Kalecki uległ namowom w połowie lat 50., gdy w powietrzu czuć było odwilż po fazie stalinowskiego zamordyzmu, a z kolei w USA robiło się gęsto na fali antykomunistycznej działalności senatora McCarty’ego. Trafił na SGPiS (dziś SGH) i trochę rządowi doradzał, ale w sumie spadł z deszczu pod rynnę. Nie pomogły mu też takie choćby prace, jak obalenie socjalistycznego dogmatu o rzekomej konieczności szybszego rozwoju sektora produkcji ciężkiej od produkcji dóbr konsumpcyjnych. Stopniowo popadał więc w coraz większą izolację. Finałem było rozgonienie zespołu jego najbliższych pracowników na fali antysemitkiej nagonki 1968 r. i wyjazd z Polski większości jego uczniów z Kazimierzem Łaskim na czele. Rozgoryczony Kalecki został, ale nie pożył już długo. Zmarł w 1970 r.

W Polsce jest dziś zapomniany. Dlaczego? – Głoszona przez niego nauka jest trudna i często przecząca potocznemu rozumieniu ekonomii. Polak słyszy, że rząd powinien się zachowywać podczas kryzysu jak gospodyni domowa, która gdy nie ma pieniędzy, to oszczędza. I myśli sobie, że to ma sens. Z tego typu rozumowaniem zgadza się większość sił politycznych w kraju – uważa Osiatyński. W rzeczywistości jest trochę inaczej. – Im dłużej trwa na świecie obecny

kryzys, tym bardziej trafia do przekonania argumentacja Kaleckiego, która brzmi tak: jak pan nie pójdzie do fryzjera, to pański fryzjer nie zje obiadu. W sumie nie musi to pana niepokoić. Ale jeżeli wszyscy będziemy oszczędzać i przestaniemy kupować, czeka nas bezrobocie. A wtedy budżet nie zbierze ani VAT, ani podatku dochodowego i jeszcze trzeba będzie wypłacać zasiłki – dodaje Osiatyński.

Polskie tropy

Ta aktualność myśli Kaleckiego sprawia, że Łódzianin zdystansował (przynajmniej jeśli chodzi o aktualność) innego giganta polskiej ekonomii XX-wieku Oskara Langego. Odwoływanie się do prac zmarłego w 1964 r. badacza jest wciąż w dobrym tonie na większości zachodnich uniwersytetów, zwłaszcza gdy mowa o historii myśli ekonomicznej i o próbach symulowania przez gospodarkę socjalistyczną tej samej racjonalności, która charakteryzuje kapitalizm. W Polsce na Langego trudno się jednak powoływać chociażby z przyczyn historycznych. Ekonomista po swoich przedwojennych wояażach (wykładał np. na renomowanym Uniwersytecie Chicagowskim) stał się (jako ambasador, członek KC PZPR i poseł) jedną z twarzy komunistycznej władzy, i to w najgorszych stalinowskich czasach. „W latach 30. wierzył, że gospodarka planowa będzie w stanie zastąpić wolny rynek. W czasie II wojny wierzył w możliwość współpracy rządu emigracyjnego z przyszłym rządem lubelskim i w to, że Stalin nie będzie się mieszał w sprawy powojennej Polski. Wierzył, wierzył, wierzył... do granic naiwności” – tak kilka lat temu portretował Langego w „Gazecie Wyborczej” Daniel Passent. Jeszcze później część historyków oskarżyła ekonomistę o to, że w czasie swojego pobytu w USA był agentem radzieckiego wywiadu o pseudonimie „Przyjaciół”.

Choć ich znaczenie było olbrzymie, ani Lange, ani Kalecki nigdy nie dostąpili największego zaszczytu i nie otrzymali Nagrody Nobla. Wyróżnienie jest przyznawane dopiero od 1969 r., więc obaj zmarli trochę zbyt wcześnie (Kalecki był nawet nominowany). Na dodatek Nobel z ekonomii szybko stał się domeną zachodniego, a zwłaszcza amerykańskiego świata naukowego. Nie znaczy to, że w historii tego wyróżnienia brak polskich tropów. Jest ich całe mnóstwo. Na przykład twórca koncepcji PKB Simon Kuznietz, który urodził się jako Siemion Abramowicz Kuźniec w należącej wówczas (rok 1901) do cesarstwa rosyjskiego Pińsku. Gdyby przyszedł na świat po 1914 r., mógłby stać się akademickim kolegą Kaleckiego czy Langego.

Rodzinne korzenie wśród polskich Żydów ma również noblista z 1970 r. Paul Samuelson (jego rodzice wyjechali do pracy w stalowni w amerykańskim stanie Indiana tuż przed pierwszą wojną światową). Podobnie Paul Krugman (dziadkowie pochodzili z Brzeźcia Litewskiego) oraz Myron Scholes (dziadkowie z Białegostoku).

To jednak ledwie dalekie tropy. Pierwszym naprawdę polskim wyróżnieniem z ekonomii był uhonorowany w 2007 r. Leonid Hurwicz. Niech nikogo nie zmyli rosyjsko brzmiące imię oraz Moskwa w rubryce „miejsce urodzenia”. Faktycznie Hurwicz był polskim Żydem z rodziny osiadłej w Kongresówce. Podczas pierwszej wojny jego przodkowie uciekli w głąb Rosji przed wkraczającymi Niemcami. Tam rodzina przeczekała dwie rosyjskie rewolucje i zakończenie wojny. Tam również (w 1917 r.) urodził się Leonid. Gdy sytuacja w Polsce się trochę uspokoiła, Hurwiczowie wrócili do Warszawy, gdzie przeżyli całe dwudziestolecie. Leonid Hurwicz skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim w 1938 r. i jako zdolny młody naukowiec zaczął wyjeżdżać na stypendia. Zafascynowany wykładami Ludwiga von Misesa (Genewa) zdecydował się zmienić fach na ekonomię. W tym czasie wybuchła wojna i Hurwicz do Polski już nie wrócił. Zaczepił się na amerykańskich uniwersytetach jako asystent (znów polskie połączenie) Paula Samuelsona i Oskara Langego. Z biegiem lat osiadł na Uniwersytecie Minnesoty, gdzie zgromadził wokół siebie grono oddanych uczniów. Przed pięcioma laty razem ze sporo młodszymi współpracownikami Erikiem Maskinem i Rogerem Myersonem dostał Nobla za teorię projektowania mechanizmów (wyrafinowana działka teorii gier pomocna przy organizowaniu finansowych aukcji). Miał już wtedy, bagatela, 90 lat.

Nowe pokolenie

Gdyby spytać bookmacherów, kto będzie następnym „polskim Noblem”, najwyższe szanse miałyby najpewniej Roman Frydman. Urodzony w Warszawie w 1948 r. zdążył jeszcze w kraju studiować fizykę. Po wyjeździe do USA (znów na fali migracji osób pochodzenia żydowskiego w 1968 r.) przerzucił się na ekonomię. Od trzydziestu lat pracuje na renomowanym Uniwersytecie Nowojorskim. I ma na koncie teorię, która może przynieść mu wyróżnienie. To IKE, czyli ekonomia wiedzy niedoskonałej. Używając jej, Frydman majstruje przy samych podstawach ekonomii klasycznej, czyli założeniu, że człowiek jest racjonalnym aktorem ekonomicznej gry. I wieszcy coś, co słyhać coraz częściej w najpoważniejszych rozważaniach fachowców: badanie gospodarki nie jest w stanie niczego przewidzieć. Niestety.

Polskie przemiany roku otworzyły nowe drogi nie tylko przed gospodarką, lecz także przed rodzimymi ekonomistami. – W ostatnich 10 – 15 latach wyjechała z Polski cała kohorta młodych zdolnych ludzi, o których jeszcze usłyszymy – mówi DGP Ryszard Kokoszcyński, ekonomista Uniwersytetu Warszawskiego i wicedyrektor Instytutu Ekonomicznego NBP. Najzdolniejsi z nich to na przykład specjalista od podatków Wojciech Kopczuk wykładający na renomowanej nowojorskiej Columbii. 40-letni Kopczuk ma już na swoim koncie nagrodę... Ig Nobla, prześmiewcze wyróżnienie przyznawane za najbardziej dziwaczne badania z rozmaitych dziedzin. W 2001 r. dostał ją za pracę „Dying to Save

Taxes" (Umierać tak, żeby zaoszczędzić na podatkach), w której pokazał zastanawiający statystyczny efekt elastyczności śmierci, czyli umiejętność przesuwania swojego zgonu, tak by opłacało się to z przyczyn podatkowych spadkobiercom. Ig Nobel wcale jednak Kopczukowi w karierze nie przeszkodził, wręcz przeciwnie. Publikuje w najważniejszych ekonomicznych periodykach. Podobnie jak specjalista od rynkowego zastosowania teorii gier Andrzej Skrzypacz, mimo młodego wieku już profesor na Uniwersytecie Stanforda. Albo Robert Maćkowiak obecnie pracujący w Europejskim Banku Centralnym, który swój doktorat robił u zeszłorocznego noblisty Christophera Simsa.

Wszyscy oni swoje opus magnum mają jeszcze przed sobą. – Teraz uprawia się ekonomię trochę inaczej niż za czasów Kaleckiego czy Keynesa. Przed pięćdziesiątką ekonomiści wyzywają się w publikacjach tekstów krótkich i skierowanych do wąskiego grona fachowców. Czas na wielkie syntezy przychodzi dopiero później – uważa Kokoszczński. Współczesna specyfika pracy naukowej nie sprzyja jego zdaniem jeszcze jednemu. – Trudno dziś mówić o tworzeniu szkół ekonomicznych w starym stylu. Uczony rzadko może sobie pozwolić na komfort badania przez całe życie jednego czy dwóch problemów. Jeśli chce coś znaczyć, skacze od tematu do tematu, podążając za modami, trendami i grantami. Taka jest rzeczywistość – dodaje.

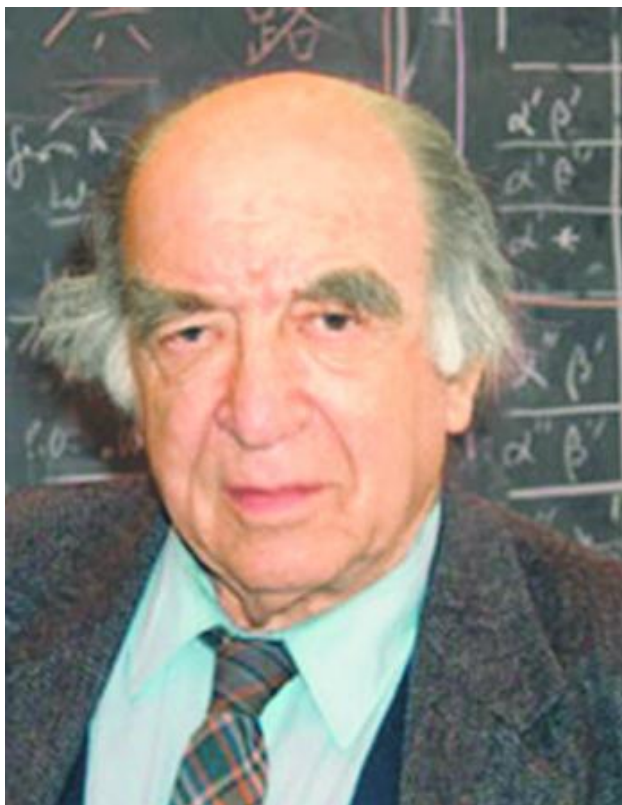
Sam termin „polska szkoła ekonomiczna” też zresztą musi być czytany właśnie w cudzysłowie. Wszystkich opisanych tu ekonomistów łączy bowiem nie tyle poglądy czy jakieś specyficzne spojrzenie na gospodarkę, ile to, że w ich losach odbija się ostatnich 100 lat polskiej historii. Od migracji za chlebem za Atlantyk przez Holokaust po otwarcie na Unię Europejską i Zachód. Na dodatek skomplikowana historia nie pozwoliła nigdy stworzyć w strukturach akademickich szkoły ekonomicznej z prawdziwego zdarzenia. Trudno też powiedzieć, na ile dorobek opisanych ekonomistów jest sprawą szczególnie „polską”, a na ile efektem trafienia przez zdolne jednostki do dobrych zachodnich ośrodków akademickich. Niemniej jego przesłanie jest również optymistyczne. Pokazuje, że także nad Wisłą rodzą się czasem ludzie, którzy mają o gospodarce coś ciekawego i przełomowego do powiedzenia.

Niewielu klasyków ekonomii potrafi nam wyjaśnić tak wiele z obecnego kryzysu, jak zmarły w 1970 r. Michał Kalecki



Materiały prasowe

Andrzej Skrzypacz



afp/east news

Leonid Hurwicz



wojciech druszcz/reporter

Roman Frydman

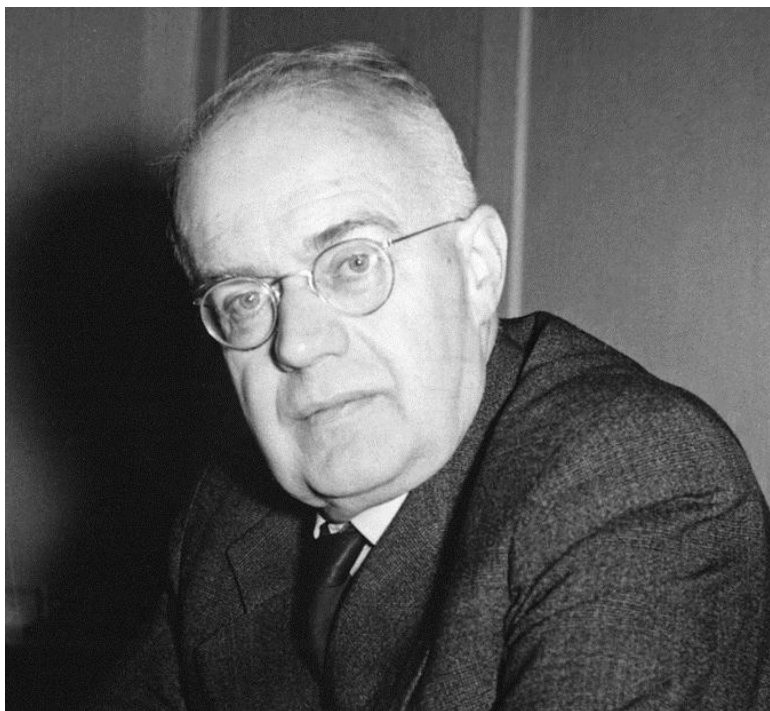


Materiały prasowe

Wojciech Kopczuk



Michał Kalecki



Lucjan Fogiel/East News

Oskar Lange